

Legendy pochodzą z książki Urszuli i Aleksandra Wiącków „Legendy Karkonoszy i Okolic”, wydanej w roku 1984 przez Wojewódzki Dom Kultury w Jeleniej Górze.

Jak Liczyrzepa zyskał swoje miano

Żyła kiedyś w Karkonoszach panna niezwyklej urody. Nazywała się Dobrogniewa i była ukochaną córką księcia ze Świdnicy. Jej skóra była biała jak mleko, delikatna jak jedwab. Miała wielkie brązowe oczy i rumiane policzki, zgrabny nosek i piękne usta koloru dojrzałych wiśni. Wielu podkochiwało się w dziewczynie, lecz jej serce należało do raciborskiego księcia Mieszka.

Zdarzyło się tak, że dostrzegł pannę duch gór Karkonosz. Jej uroda tak urzekła władcę gór, iż postanowił on zabrać dziewczynę do swojej siedziby. Na dworze świdnickiego księcia odbywała się akurat uczta. Zgromadziło się na niej wielu zacnych dworzan i rycerzy. Był też narzeczony Dobrogniewy, książę Mieszko.

Duch gór niewiele myśląc przemienił się w wiatr i porwał Dobrogniewę z zamku na oczach przerażonych gości. Mieszko i rycerze krzyczeli, chcieli ratować dziewczynę, ale gdzież im było się równać do szybkości i potęgi wiatru.

Minęła krótka chwila i Karkonosz postawił pannę u wrót swojej siedziby, twierdzy ukrytej wewnątrz góry Śnieżki i tak rzecze do niej:

- Tu będzie Twój dom. Ze mną zostaniesz!

Dziewczyna na to zaczyna narzekać:

- Jakże mam tu zostać skoro dwór Twój pusty, ponury. Sługi żadnego nie masz. Kto zadba o moje wygody?

Na te słowa wyleciał duch gór na pola i rzepy nazbierał. Gdy wrócił do zamku czary odprawił i wnet zamiast rzepy stoją piękni dworzanie gotowi spełnić każdą zachciankę Dobrogniewy. Skrzaty górskie zaś wybiły w ścianach twierdzy wielkie okna, aby pałac był mniej ponury i bardziej przyjazny pannie.

Jednak dziewczyna w czasie nieobecności Karkonosza nie próżnowała. Znalazła pośtańców wśród dzikich zwierząt i listy do Mieszka wysłała.

Większość gońców nie dotarło do celu, ale jednemu krukowi udało się tego dokonać.

Przeczytał raciborski książę list od ukochanej, wskoczył na konia i gna do twierdzy ducha gór. Karkonosz jednak wie wszystko, co się w górach dzieje, czeka na księcia i gdy ten przybywa tak mówi:

- Udowodnij młody chłopcze, żeś godny Dobrogniewy, żeś wystarczająco bogaty i szczęście jej zapewnisz.

Po tych słowach zawiął wiatr obaj znaleźli się w skarbcu raciborskim. Przygląda się Karkonosz nagromadzonym tam bogactwom i tak mówi:

- Widać, żeś bogaty, ale daleko Ci do skarbów zgromadzonych w moim zamku. Zobacz sam...

I znów zawiął wiatr. Po chwili stoi Mieszko z Karkonoszem w wielkiej komnacie we wnętrzu Śnieżki. A tam z każdego kąta bije blask złota, srebra, drogocennych kamieni i pięknych pereł. Książę nie zamierzał jednak dać za wygraną. Wyciągnął miecz i do walki z duchem gór staje. Karkonosz niewiele myśląc w bestie dziką się przemienia, tnie Mieszka ostrymi pazurami i próbuje złapać wielkimi zębiskami. Walczyliby długo, ale pojedynkę przerwała Dobrogniewa tak mówiąc:

- Widać, że obaj jesteście biegli w walce. Nie uda wam się rozstrzygnąć w ten sposób sporu. Pozwólcie więc, że ja zdecyduję, który jest mnie bardziej godny. Niech wygra mądrzejszy. Ty Mieszku policzysz wszystkie skarby znajdujące się w tej komnacie, duch gór policzy zaś rzepy, które tu przyniósł z pól, aby mi dworzan stworzyć. Zostanę z tym, który wykona zadanie szybciej. Zróbcie to jednak dokładnie bo ten, który się pomyli przegra.

Ucieszył się Karkonosz, bo zadanie dostał łatwiejsze od księcia. Zabrał się szybko do liczenia. Policzył już prawie wszystkie, kiedy pomyślał, że musi się upewnić czy, aby się nie pomylił. Liczy, więc rzepy drugi raz i trzeci.

Dobrogniewa z Mieszkiem niewiele myśląc wymknęli się z zamku i pędzą do Świdnicy. Tam szybko weselisko wyprawili i nierozzerwalną przysięgą miłości połączyli.

Kiedy duch gór się zorientował, że młodzi go przechytrzyli było już za późno. Nic nie mógł wskórać przeciw przysiędze miłości. Ze wstydem ukrył się we wnętrzu Śnieżki w swojej kamiennej twierdzy. Zaś od tego zdarzenia Karkonosz do dziś dnia nazywany jest żartobliwie Liczyrzepą

Legenda o tragicznej śmierci rusałki i kamieńczyka

Dawno temu w poszukiwaniu złota przywędrowali z dalekich krajów frankońskich w Karkonosze i Góry Izerskie Walończycy. Odkryli oni licznie występujące tu szlachetne i półszlachetne kamienie. Przykład z nich wzięli inni. Niektórzy z tego zbieractwa kolorowych kamyków dorobili się niemałej fortuny, w pałacach mieszkali i bogate życie wiedli. Mieszkańcy podgórskich siół i osad nazywali się kamiennikami, lub kamieńczykami i sami też zaczęli próbować szczęścia.

Żył w owym czasie w [Szklarskiej Porębie](#) pewien człowiek o imieniu Bronisz. Pracował ciężko jako drwal na utrzymanie matki i siebie. Od wiosny do pierwszych śniegów wycinał w pocie czoła drzewa w lesie, a że żyli oszczędnie, biedy z matką nie odczuwali, lecz i dobrobytu też nie znali. Któregoś dnia matka Bronisza się rozchorowała. Syn zmuszony był do pozostania w domu i opieki nad nią. Czynił to z miłością i bardzo troskliwie, gdy jednak bieda wcisnęła się po pewnym czasie do ich chaty i nie było już co do garnka włożyć, postanowił udać się w góry i szukać szlachetnych kamieni, które bogaci ludzie chętnie kupowali. Zabrał kilka kromek chleba, gomółkę sera, kilof, łopatę i powędrował przed świtaniem w Karkonosze. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię szedł przez lasy, łąki i górskie bezdroża. Chodził korytami bystrych potoków, oglądając ich wypłukane brzegi, przeszukiwał szczeliny skalne i każde obsunięcie kamiennych zboczy. Dotarł w ten sposób aż do Łabskiego Szczytu, a potem jego południowym stokiem na prawie płaską łąkę, gdzie wytryskiwało źródło rzeki Łaby. Tu zaczął kopać w ziemi. Nie wiedział, że przyglądają mu się rusałki wodne z Łabskiego Źródła, płukające tam piasek źródłany. Było ich osiem, lecz żadna nie wiedziała, ani też nie domyślała się, czego szuka ten młody człowiek. Z przyjemnością patrzyły na jego jasne włosy, opaloną słońcem twarz i na muskularną, zgrabną postać. Skryły się potem w wodzie i tylko jedna z nich, zwana przez siostry Łabudką, pozostała nad brzegiem nie mogąc oderwać oczu od Bronisza. Poczła iż serce jej bije raźniej na jego widok oraz, że budzi się w niej nieznane dotychczas uczucie. Gdy przestał pracować i zaczął zbierać swe narzędzia wówczas ogarnął ją lęk, że nie zobaczy go już więcej.

- Zostań ze mną – odezwała się nieśmiało – czuję, że gdy odejdziesz i nie zobaczę cię już więcej, serce me pęknie z bólu. Zwiędnę tak jak kwiaty górskie każdej jesieni.

Podeszła bliżej, zarzuciła mu swe drobne, zgrabne ręce na szyję, całym ciałem przytuliła się do niego, a usta przycisnęła do jego warg. Młody drwal objął rusałkę mocnymi ramionami, ucałował, a potem wyjaśnił jej

cel swego pobytu w tym miejscu i poszukiwań. Powiedział również, że nie może pozostać z nią przy Łabskim Źródle, bo po to został kamieńczykiem, by uzyskać pieniądze na leczenie swej matki. Obiecał jednak, że wkrótce wróci, by zostać z nią na zawsze, gdy matka będzie już zdrowa i gdy zapewni jej spokojne i dostatnie życie aż do śmierci. Łabudka oddała mu wtedy cały swój skarb, składający się ze ślicznych kamieni szlachetnych, który miała ukryty pośród traw i krzaków kosówki, a potem całą noc rozmawiali o wspólnej przyszłości leżąc na pachnącej, miękkiej i chłodnej górskiej trawie. Następnego dnia Bronisz udał się do domu, obiecując swej ukochanej powrócić. Podał nawet dokładny termin, od którego będą już razem.

Zakochana rusałka z niecierpliwością liczyła dni dzielące ją od spotkania z ukochanym. Potem liczyła już godziny, a w ostatnią noc przed określonym terminem nie mogła usnąć: Rozczarowała się jednak. Jej ukochany nie przybył.

Zawiedziona i oszukana przestała biegać po Łabskiej Łące. Nie bawiła się już bez troski ze swymi siostrami. Chodziła zasmucona, rozmyślała o swym kamieńczyku, czasami cichutko łkając.

Któregoś dnia nie mogąc już dłużej znieść trapiącej ją tęsknoty, postanowiła zejść po północnym stoku Karkonoszy w dolinę nad Kamienną, gdzie spodziewała się odnaleźć Bronisza i gdzie chciała pozostać z nim na zawsze, skoro on przyjść do niej nie może. Siostry jej wpadły w rozpacz. Tłumaczyły, że rusałkom nie wolno schodzić poniżej terenu porośniętego iglastą kosówką, gdyż straci wtedy prawo powrotu do rodzinnego źródła i stanie się zwykłą, podatną na choroby, bóle i śmierć kobietą. Nic nie pomogło. Łabudka niezłomnie pozostawała przy swoim zamiarze. Pożegnała siostry i rodzinne źródło łaby i udała się w stronę [Szrenicy](#) wąską, górską ścieżką, gdyż nią oddalił się jej ukochany. Szła ku północy, przez Halę [Szrenicką](#) pokrytą plamami ciemnozielonej kosówki i porośniętej rzadko karłowatymi świerkami. Przed pierwszymi drzewami wysokopiennego lasu stanęła i zaczęła oglądać wysokie, dostojnie spoglądające na nią potężne świerki. Była zdumiona ich ogromem i nieznanymi kształtami. Na wspomnienie przestrogi o wkroczeniu u pomiędzy te grube, pokryte mchami pnie mocniej zabiła jej serce, lecz myśl o Broniszu była silniejsza. Zrobiła krok, potem następne i zaczęła biec ścieżką opadającą coraz bardziej stromo ku dolinie. Zatrzymała się dopiero nad kamiennym urwiskiem. Tu musiała schodzić wolno i ostrożnie. Wyszukiwała występy opierając o nie stopy i pomagając sobie rękoma. Wciskała się w wąskie szczeliny, lub łapała ostre krawędzie granitowych głazów. Schodzenie po stromej ścianie trwało dość długo, ale w pewnym momencie serce zabiło jej jakoś dziwnie mocno i jakiś wewnętrzny głos nakazał spojrzeć w dół. To co dostrzegła zaparło jej dech w piersiach. Pod skalną ścianą urwiska leżały zwłoki ukochanego kamieńczyka. Leżały nieruchomo na kamiennych głazach, które odpadły od stoku w dół. Dostrzegła jego bladą, pokrwawioną twarz i szeroko rozwarte oczy

patrzące. w błękit nieba. Pojęła wtedy, że szedł do niej i spadł ze ściany wspinając się ku górze. Poczła nagły, wzmagający się silny ból w piersi. Odruchowo położyła dłoń na bolącym miejscu. To nieopatrzne oderwanie palców od skały, której dotychczas się przytrzymała, spowodowało, że zachwiała się, straciła równowagę i spadła w dół. W ostatniej sekundzie życia uświadomiła sobie, że będzie teraz na zawsze z ukochanym.

Już następnego dnia dotarła do Łabskiego Źródła wieść o śmierci Łabudki i wtedy siedem zasmuconych tą wiadomością jej sióstr pobiegło na Halę [Szrenicką](#). Usiadły powyżej granicy wysokopiennego lasu i szczerze zapłakały. Spadające łzy utworzyły siedem małych źródełek, które połączyły swe wody w jeden potok i potoczyły się w stronę, gdzie spoczywały zwłoki ich siostry i jej ukochanego, a następnie ścieżką wiodącą w stronę [Szklarskiej Poręby](#). W miejscu gdzie ona się kończyła skalnym urwiskiem powstał wodospad.

Potok ten istnieje do dziś i do dziś opowiada szumem swych wód o tragicznej miłości i śmierci dwojga zakochanych. Miejscowa ludność nazwała go niegdyś Ciekoniem, ale potem gdy dotarła do nich wieść o miłości Łabudki i Bronisza nadano mu nazwę Kamieńczyka. Rusałkom górskim z Łabskiego Źródła wolno jest od tego czasu schodzić aż do tego wodospadu i oglądać ciało Łabudki niewidoczne dla przechodzących tu ludzi, spoczywające w wodzie u stóp skalnego urwiska, przykryte kamieniami i piaskiem naniesionym z gór. Wolno im to jednak czynić tylko jeden raz w każdym stuleciu i tylko w dniu, gdy wielobarwna tęcza jednym swym końcem zanurzy się w wodzie u stóp wodospadu. Wtedy to nawet i ludzie mogą dostrzec siedem pięknych, delikatnych i wiotkich kobiet, które kąpią się w spływającej kaskadami po skale wodzie.

Legenda o wodospadzie Szklarki

Dawno, dawno temu, nieopodal Szklarskiej Poręby, mieszkał smok. Choć sam nie zbliżał się do ludzi, omijano go szerokim łukiem. Stwór żywił się głównie rybami, które trafiały do jego paszczy w czasie picia wody z rzeki nazywanej przez wszystkich Kamienną.

W tym samym czasie nieopodal mieszkał szklarz, który był tak dobry w swoim fachu, że zaczęto mówić na niego Śklarz. Jego córkę nazwano zaś Śklarką i gdy się o nich mówiło, wszyscy wiedzieli o kogo chodzi. Dziewczynka była bardzo ciekawa świata i często wychodziła na leśne spacer. Pewnego dnia spotkała siedzącego przy potoku Ducha Gór. Rozpoznawszy go, przywitała się i usiadła obok, a widząc jego strapioną minę, postanowiła go rozweselić. Ponury Liczyrzepa szybko zapalał do niej sympatią.

Duch Gór i Śklarka spotkali się jeszcze przypadkiem kilka razy, aż któregoś dnia przyprowadził dziewczynce ranną sarenkę. Zwierzątko miało złamaną nóżkę więc Śklarka zaopiekowała się nim. A gdy wyzdrowiało, odprowadziła je do Liczyrzepy. Nie chciała przy tym żadnej nagrody i ta skromność bardzo spodobała się władcy Karkonoszy. Jednak sarenka tak polubiła swoją opiekunkę, że natychmiast pobiegła za nią. Szły przez dłuższą chwilę razem, a potem sarna nagle skręciła w stronę Kamiennej, płynącej tam głęboką doliną. Śklarka ruszyła za nią, a Liczyrzepa zdał sobie sprawę, że obie zmierzają prosto w stronę legowiska smoka. Ruszył biegiem za nimi, ale liczne krzaki utrudniały mu bieg i wkrótce stracił je z oczu.

Chciał zawołać dziewczynkę, ale w tej samej chwili dostrzegł stwora, zmierzającego prosto na Śklarkę. Przeraził się, że bestia zrobi dziewczynce krzywdę, złapał więc kamień i rzucił, celując prosto w głowę smoka. Chybił jednak i kamień spadł w sam środek potoku. Kamienne dno pękło pod wpływem potężnego uderzenia tworząc urwisko, w które spadła przerażona Śklarka. Liczyrzepa dobiegł do urwiska i zobaczył, że spływająca woda utworzyła wodospad, obok którego leżała martwa dziewczyna.

Zrozpaczony Duch Gór odniósł ciało dziewczynki do jej ojca, a ludzie na pamiątkę nazwali powstały tamtego dnia wodospad Śklarką. Z czasem tą ludową nazwę zmieniono na Szklarkę i tak już pozostało.

Legenda o tragicznej śmierci rusałki i kamieńczyka

Dawno temu w poszukiwaniu złota przywędrowali z dalekich krajów frankońskich w Karkonosze i Góry Izerskie Walończycy. Odkryli oni licznie występujące tu szlachetne i półszlachetne kamienie. Przykład z nich wzięli inni. Niektórzy z tego zbieractwa kolorowych kamyków dorobili się niemałej fortuny, w pałacach mieszkali i bogate życie wiedli. Mieszkańcy podgórskich siół i osad nazywali się kamiennikami, lub kamieńczykami i sami też zaczęli próbować szczęścia.

Żył w owym czasie w [Szklarskiej Porębie](#) pewien człowiek o imieniu Bronisz. Pracował ciężko jako drwal na utrzymanie matki i siebie. Od wiosny do pierwszych śniegów wycinał w pocie czoła drzewa w lesie, a że żyli oszczędnie, biedy z matką nie odczuwali, lecz i dobrobytu też nie znali. Któregoś dnia matka Bronisza się rozchorowała. Syn zmuszony był do pozostania w domu i opieki nad nią. Czynił to z miłością i bardzo troskliwie, gdy jednak bieda wcisnęła się po pewnym czasie do ich chaty i nie było już co do garnka włożyć, postanowił udać się w góry i szukać szlachetnych kamieni, które bogaci ludzie chętnie kupowali. Zabrał kilka kromek chleba, gomółkę sera, kilof, łopatę i powędrował przed świtaniem w Karkonosze. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię szedł przez lasy, łąki i górskie bezdroża. Chodził korytami bystrych potoków, oglądając ich wypłukane brzegi, przeszukiwał szczeliny skalne i każde obsunięcie kamiennych zboczy. Dotarł w ten sposób aż do Łabskiego Szczytu, a potem jego południowym stokiem na prawie pół aską łąkę, gdzie wytryskiwało źródło rzeki Łaby. Tu zaczął kopać w ziemi. Nie wiedział, że przyglądają mu się rusałki wodne z Łabskiego Źródła, płukające tam piasek źródłany. Było ich osiem, lecz żadna nie wiedziała, ani też nie domyślała się czego szuka ten młody człowiek. Z przyjemnością patrzyły na jego jasne włosy, opaloną słońcem twarz i na muskularną, zgrabną postać. Skryły się potem w wodzie i tylko jedna z nich, zwana przez siostry Łabudką, pozostała nad brzegiem nie mogąc oderwać oczu od Bronisza. Poczuli iż serce jej bije raźniej na jego widok oraz, że budzi się w niej nieznane dotychczas uczucie. Gdy przestał pracować i zaczął zbierać swe narzędzia wówczas ogarnął ją lęk, że nie zobaczy go już więcej.

- Zostań ze mną – odezwała się nieśmiało – czuję, że gdy odejdziesz i nie zobaczę cię już więcej, serce me pęknie z bólu. Zwiędnę tak jak kwiaty górskie każdej jesieni.

Podeszła bliżej, zarzuciła mu swe drobne, zgrabne ręce na szyję, całym ciałem przytuliła się do niego, a usta przycisnęła do jego warg. Młody drwal objął rusałkę mocnymi ramionami, ucałował, a potem wyjaśnił jej cel swego pobytu w tym miejscu i poszukiwań. Powiedział również, że nie może pozostać z nią przy Łabskim Źródle, bo po to został kamieńczykiem,

by uzyskać pieniądze na leczenie swej matki. Obiecał jednak, że wkrótce wróci, by zostać z nią na zawsze, gdy matka będzie już zdrowa i gdy zapewni jej spokojne i dostatnie życie aż do śmierci. Łabudka oddała mu wtedy cały swój skarb, składający się ze ślicznych kamieni szlachetnych, który miała ukryty pośród traw i krzaków kosówki, a potem całą noc rozmawiali o wspólnej przyszłości leżąc na pachnącej, miękkiej i chłodnej górskiej trawie. Następnego dnia Bronisz udał się do domu, obiecując swej ukochanej powrócić. Podał nawet dokładny termin, od którego będą już razem.

Zakochana rusałka z niecierpliwością liczyła dni dzielące ją od spotkania z ukochanym. Potem liczyła już godziny, a w ostatnią noc przed określonym terminem nie mogła usnąć: Rozczarowała się jednak. Jej ukochany nie przybył.

Zawiedziona i oszukana przestała biegać po Łabskiej Łące. Nie bawiła się już beztrąsko ze swymi siostrami. Chodziła zasmucona, rozmyślała o swym kamieńczyku, czasami cichutko łkając.

Któregoś dnia nie mogąc już dłużej znieść trapiącej ją tęsknoty, postanowiła zejść po północnym stoku Karkonoszy w dolinę nad Kamienną, gdzie spodziewała się odnaleźć Bronisza i gdzie chciała pozostać z nim na zawsze, skoro on przyjąć do niej nie może. Siostry jej wpadły w rozpacz. Tłumaczyły, że rusałkom nie wolno schodzić poniżej terenu porośniętego iglastą kosówką, gdyż straci wtedy prawo powrotu do rodzinnego źródła i stanie się zwykłą, podatną na choroby, bóle i śmierć kobietą. Nic nie pomogło. Łabudka niezłomnie pozostawała przy swoim zamiarze. Pożegnała siostry i rodzinne źródło Łaby i udała się w stronę [Szrenicy](#) wąską, górską ścieżką, gdyż nią oddalił się jej ukochany. Szła ku północy, przez Halę [Szrenicką](#) pokrytą plamami ciemnozielonej kosówki i porośniętej rzadko karłowatymi świerkami. Przed pierwszymi drzewami wysokopiennego lasu stanęła i zaczęła oglądać wysokie, dostojnie spoglądające na nią potężne świerki. Była zdumiona ich ogromem i nieznanymi kształtami. Na wspomnienie przestrogi o wkroczeniu u pomiędzy te grube, pokryte mchami pnie mocniej zabiła jej serce, lecz myśl o Broniszu była silniejsza. Zrobiła krok, potem następne i zaczęła biec ścieżką opadającą coraz bardziej stromo ku dolinie. Zatrzymała się dopiero nad kamiennym urwiskiem. Tu musiała schodzić wolno i ostrożnie. Wyszukiwała występy opierając o nie stopy i pomagając sobie rękoma. Wciskała się w wąskie szczeliny, lub łapała ostre krawędzie granitowych głazów. Schodzenie po stromej ścianie trwało dość długo, ale w pewnym momencie serce zabiło jej jakoś dziwnie mocno i jakiś wewnętrzny głos nakazał spojrzeć w dół. To co dostrzegła zaparło jej dech w piersiach. Pod skalną ścianą urwiska leżały zwłoki ukochanego kamieńczyka. Leżały nieruchomo na kamiennych głazach, które odpadły od stoku w dół. Dostrzegła jego bladą, pokrwawioną twarz i szeroko rozwarte oczy patrzące w błękit nieba. Pojęła wtedy, że szedł do niej i spadł ze ściany wspinając się ku górze. Poczowała nagły, wzmagający się silny ból w piersi.

Odruchowo położyła dłoń na bolącym miejscu. To nieopatrzone oderwanie palców od skały, której dotychczas się przytrzymywała, spowodowało, że zachwiała się, straciła równowagę i spadła w dół. W ostatniej sekundzie życia uświadomiła sobie, że będzie teraz na zawsze z ukochanym.

Już następnego dnia dotarła do Łabskiego Źródła wieść o śmierci Łabudki i wtedy siedem zasmuconych tą wiadomością jej sióstr pobiegło na Halę [Szrenicką](#). Usiadły powyżej granicy wysokopiennego lasu i szczerze zapłakały. Spadające łzy utworzyły siedem małych źródełek, które połączyły swe wody w jeden potok i potoczyły się w stronę, gdzie spoczywały zwłoki ich siostry i jej ukochanego, a następnie ścieżką wiodącą w stronę [Szklarskiej Poręby](#). W miejscu gdzie ona się kończyła skalnym urwiskiem powstał wodospad.

Potok ten istnieje do dziś i do dziś opowiada szumem swych wód o tragicznej miłości i śmierci dwojga zakochanych. Miejscowa ludność nazwała go niegdyś Ciekoniem, ale potem gdy dotarła do nich wieść o miłości Łabudki i Bronisza nadano mu nazwę Kamieńczyka. Rusałkom górskim z Łabskiego Źródła wolno jest od tego czasu schodzić aż do tego wodospadu i oglądać ciało Łabudki niewidoczne dla przechodzących tu ludzi, spoczywające w wodzie u stóp skalnego urwiska, przykryte kamieniami i piaskiem naniesionym z gór. Wolno im to jednak czynić tylko jeden raz w każdym stuleciu i tylko w dniu, gdy wielobarwna tęcza jednym swym końcem zanurzy się w wodzie u stóp wodospadu. Wtedy to nawet i ludzie mogą dostrzec siedem pięknych, delikatnych i wiotkich kobiet, które kąpią się w spływającej kaskadami po skale wodzie.

Kamieńczyk.

Jak głosi legenda wodospad powstał z łez siedmiu rusałek, które opłakiwały śmierć jednej z nich zakochanej w Kamieńczyku Broniszu, który wysoko w Karkonoszach szukał szlachetnych kamieni aby pomóc w biedzie
chorej
matce.

Łabudka, bo tak nazywała się rusałka, nie bacząc na ostrzeżenia sióstr zakochała się w śmiertelniku. Oddała mu swój cały skarb - drogocenne kamienie, aby ten mógł przeznaczyć je na leczenie chorej matki. Bronisz, który odwzajemnił uczucie rusałki obiecał, że niedługo wróci. Tak się jednak nie stało, choć Łabudka wypatrywała Bronisza przez wiele dni.

W końcu chora z tęsknoty postanowiła odszukać ukochanego. Ruszyła spod swego domu pod Łabskim Szczytem na północ w kierunku Hali Szrenickiej. Stamtąd ostrożnie posuwała się w dół. Nagle zobaczyła przerażający widok – ciało swego ukochanego, który spadał ze skalnego urwiska. Rusałka z wrażenia poślizgnęła się i upadła koło Bronisza. Siostry długo płakały nad losem kochanków, a z ich łez powstał wodospad Kamieńczyka – jedno z najpiękniejszych miejsc w Karkonoszach.

A co z Kamieńczykiem? Kamieńczyk był drwalem. Mieszkał tu niedaleko. Faktycznie zwał się Broniszem. Pracował bardzo ciężko, gdyż na utrzymaniu miał nie tylko siebie ale i matkę, którą bardzo kochał. Gdy matka zachorowała, musiał pozostać w domu i zaopiekować się nią. Czynił to z miłości. Wnet do chaty Bronisza zapukała bieda. Chcąc ratować matkę postanowił poszukać szczęścia w górach. Wszyscy wiedzieli, że po Karkonoszach krążą poszukiwacze skarbów zwani kamieńczykami. Zabrał ze sobą kilof, łopatę, kawałek chleba, gomółkę sera i poszedł szukać szlachetnych kamieni. Wędrował korytami potoków, szukając rozpadlin skalnych. To w nich najczęściej ukryte były karkonoskie skarby. Tak dotarł do źródeł Łaby. Kopiąc w ziemi przy źródle Łaby nie zdawał sobie sprawy z tego, że przyglądają mu się rusałki wodne. Jedna z nich, zwana Łabudą, nie mogła oderwać wzroku od Bronisza. Poczwała, że serduszko jej bije raźniej, a pracujący młodzian budzi w niej nieznane dotychczas uczucie.

Bała się, że jak przestanie pracować, to odejdzie. - Zostań ze mną - to były nieśmiało wypowiedziane słowa Budki. Podeszła bliżej i objęła go mocno, przytulając się do niego, a usta przyciskają do warg młodziana. Młody drwal również objął piękną rusałkę i ucałował. Potem wyjaśnił cel swojego przybycia, opowiedziało swojej matce i jak został Kamieńczykiem. Uczucie, które zrodziło się między młodymi było tak silne, że Bronisz obiecał wrócić do Łabudki jak tylko wyzdrowieje jego matka. Łabuda chcąc mu dopomóc oddała skarb ukryty wśród traw i kosówki Łabskiej Łąki. Były najpiękniejsze szlachetne kamienie

Noc trwała krótko. Następnego dnia Bronisz odszedł wąską ścieżką w kierunku Szrenicy. Obiecał ukochanej, że wróci. Podał nawet termin. Łabuda z niecierpliwością zakochanej osoby liczyła dni, potem godziny. Bronisz nie wracał. Wbrew ostrzeżeniom sióstr Łabuda postanowiła zejść po północnym stoku Karkonoszy do doliny Kamiennej i poszukać młodego drwala. Wiedziała, że jak zejdzie poniżej terenów porośniętych kosówką, straci prawo powrotu do źródła i stanie się zwykłą śmiertelną kobietą. Serce gnało ją przed siebie. Minęła Szrenicę i zeszła na Szrenica Łąkę. Wysokie świerki napawały ją lękiem. Zatrzymała się dopiero nad kamiennym urwiskiem. Musiała schodzić wolno i ostrożnie. Wewnętrzny głos kazał jej spojrzeć w dół. U podnóża urwiska na kamiennych głazach leżało pokrwawione ciało Bronisza. Zginął spiesząc się do ukochanej Łabudki. Patrząc w dół rusałka nieopatrznie oderwała palne od skały, której się przytrzymała. Zachwiała się i spadła. Spadając uświadomiła sobie, że teraz zostanie z ukochanym na zawsze.

Wiadomość o śmierci Łabudki dotarła do źródeł Łaby. Siedem zrozpaczonych sióstr pobiegło na Szrenicą Łąkę. Tu usiadły na granicy wielkiego lasu i zapłakały. Spadające łzy utworzyły siedem źródeł. Wody ich połączyły się i popłynęły tam, gdzie spoczywały ciała Łabudki i

Bronisza. Raz na sto lat, gdy wielobarwna tęcza jednym swym końcem zanurzy się w wodzie u stóp wodospadu, można dostrzec tu kąpiące się rusałki. Od śmierci Łabudki, rusałki z Łabskiego Źródła mogą schodzić aż do wodospadu, któremu okoliczna ludność nadała nazwę Kamieńczyk. Ktoś powie, że nie wierzy w bajki. Można nie wierzyć. Można zostać w domu. Można.

Legenda o Trzech Świnkach

Duch Gór chciał kiedyś poznać życie i pracę ludzi. Przybrał więc postać młodego chłopaka i zszedł ze szczytów Karkonoszy do Piechowic pytając o pracę. Znalazł zatrudnienie jako pasterz świń u gospodarza Antoniego Gładąły i kazał zwać się Jankiem. O gospodarzu opowiadano, że był tak chytry, iż kazał swego syna po śmierci nagiego pochować w ziemi, w trosce o to by koszula i portki jego nie zgniły w ziemi bezużytecznie. Gładąła miał sześćdziesiąt świń i zatrudniał przy nich sześciu świniarzy. Tak więc Jankowi przypadło pilnować dziesięć świń za dwa grosze żelazne dziennego zarobku.

Chodził więc Duch Gór ze swą dziesiątką po lasach, nad potokami i po łąkach, gdzie kwitły kwiaty, słońce przygrzewało i ptaki pięknie śpiewały. Co tydzień kontrolował gospodarz świnie, ważył je i instrukcji pasterzom udzielał. Już po dwóch tygodniach stwierdził że Janek jest lepszym pasterzem od innych, a nadzorowane przez niego świnie są zdrowsze, czystsze i szybciej rosną niż inne. Zwolnił więc jednego z pasterzy, a stado jego przydzielił Jankowi i w ten sposób Duch Gór już nie dziesięć, lecz dwadzieścia świń codziennie pasał. W kilka dni później, gdy zobaczył, że u Janka nadal jest wszystko w porządku, oddalił następnych dwóch pasterzy, powiększając mu stado do czterdziestu sztuk. Nie podwyższał mu jednak wynagrodzenia, ciesząc się, że na tym zarobił. W dwie niedziele później Janek pasł już całe stado za te same pieniądze. Jesienią, gdy już dni w górach były chłodniejsze, Janek oświadczył Gładąle, że chce się zwolnić i powędrować w świat, by lżejszego chleba poszukać.

- Nowego pasterza szukajcie sobie gospodarzu od świętej Urszulki - powiedział - Naszykujcie mi pieniądze zarobione u was. Zmartwiły te słowa Gładąłę. Pojął, że utraci dobrego i taniego świnio-pasa. Zaczął więc go namawiać, by pozostał u niego chociaż rok. Nawet przyrzekł podwyższyć wynagrodzenie o pół grosza dziennie. Janek jednak nie ustąpił. Trzy dni i trzy noce piechowicki gospodarz spać i jeść nie mógł ze zmartwienia. W łóżku przewracał się z boku na bok, schudł nawet rozmyślając jak Janka zatrzymać. Znalazł w końcu sposób. Którejś nocy zakradł się do chlewni. Wybrał trzy najlżejsze sztuki, włożył do worka, na plecy zarzucił i w Karkonosze je poniósł. Z wielkim trudem, po kilku odpoczynkach wdrapał się na Szrenicę. Przywiązał świnie do wbitych w ziemię pośród krzaków kosodrzewiny palików, a na drugi dzień powiedział do Janka:

- No! Jeśli tak bardzo chcesz odejść to odejdiesz, ale wpierw muszę sprawdzić ilość świń oddanych ci w opiekę. Uśmiechając się chytrze policzył świnie, a potem udał zdenerwowanego. - Nie wypłacę ci zarobionych grosików, ponieważ nie pilnowałeś mojego dobytku. Brakuje trzech świń! Chyba je ukradłeś i sprzedałeś! Musisz teraz pozostać u mnie przez dziesięć lat, by pracą wyrównać me straty. Duch Gór wiedział jednak o podstępie Gładąły. Chwyił go za kołnierz, na

plecy sobie zarzucił i zaniósł na szczyt Szrenicy. Tu postawił go na ziemię i cicho wyszeptał jakieś słowa. Poblady ze strachu Gładała, zobaczył wtedy jak ukrywane przez niego w krzakach kosówki świnie szybko zaczęły stawać się coraz większe. Gdy już tak urosły, że były wielkie jak domy, pękły z hukiem, przemieniając się w trzy granitowe skały.

Legenda o Szklanej Pani z wyspy Murano

W 1241 roku, po wielkiej bitwie z Mongołami na Dobrym Polu pod Legnicą, wielka bieda zapanowała na Dolnym Śląsku. Wprawdzie wielu wieśniaków powróciło do swych spalonych chat, ale na pogorzeliśkach nie znaleźli ani narzędzi do uprawy roli, ani siana dla bydła, ani też ziarna na zasiewy. Potem pojawiło się mnóstwo obcych na drogach, którzy obłąkanym wzrokiem spoglądali wokoło, wypowiadali niezrozumiałe słowa i wyciągali dłonie po jałmużnę. Wśród nich był pewien ślepiec, który na gęślach pięknie grał i donośnym głosem śpiewał nabożne pieśni. Wróżem nazywali go wszyscy, bo w jego słowach przepowiednia się kryła:

Bóg stworzył słońce i gwiazdy na niebie
Lecz nie dla ciebie
Bo z woli Boga i Świętego Ducha

Zabierze wszystkich ze świata Kostucha
Z ziemi wypełźnie, na skrzydłach przyleci
Zabierze ciebie i twoje dzieci..."

Strach padł na ludzi. Zaczęto szeptać o zagładzie rodzaju ludzkiego. Przepowiednia owa sprawdziła się dość szybko. Gdy majowe słońce przygrzewać zaczęło i po wiosennych roztopach drogi suszyło, niemoc jakaś dziwna przyszła i ludzie umierać zaczęli. Wychodziła ona chyba z niepogrzebanych zwłok, które po wojennej zawierusze setkami wały się po drogach i pośród spalonych chat, a roznosiły ją muchy. Największa bieda panowała w osadach leśnych pod Karkonoszami, gdzie ludność trudniła się myślistwem oraz zbieractwem grzybów, jagód i żywicy. Żadne zboże nie chciało tu rosnąć na kamienistej ziemi a śniegi, które znacznie dłużej tu leżały niż w innych częściach kraju, nie pozwalały na uprawę prosa na kaszę, czy też jęczmienia na placki. Same baby z dziećmiakami zresztą tutaj tylko pozostały, bo chłopów jako, że dobrze strzelali z łuków, jeszcze przed wiosennymi godami zabrał książę Henryk Pobożny do Legnicy, by swoje oddziały nimi zasilić.

Żaden z nich już pod Karkonosze nie powrócił. Wyginęli wszyscy w walce z Mongołami, a wśród nich i Wawrzon, nazywany Sową, z sadyby leśnej nad rzeką Kamienną. Jego syn Wawrzuś jedynym żywicielem po nim w domu pozostał. Chudą kozę przy chacie wypasywał, wiewiórki i ptaki w sieci łapał, by matkę swą, brata młodszego i siebie wyżywić. Tak było aż do czasu gdy zanocował u nich ślepy wróż. Po kolacji nastroił gęśle i zaśpiewał:

"Jest w dalekiej Italii mała wyspa Murano,
Tam ludziska się nie martwią co jeść będą rano.
Bo na wyspie tej dalekiej Szklana Pani mieszka,
Która daje ludziom złoto ze swojego mieszka..."

Słuchał Wawrzusć pieśni o tym jak Szklana Pani topi w ogniu piasek i w szkło go przemienia przeźroczyste jak skrzydła ważki latającej nad wodami, lub jak mgiełka nad potokami górskimi, a z których wyrabiają puchary dla bogaczy i wielkich panów. Potem długo w noc nie mógł zasnąć, bo mimo iż dotychczas znał tylko gliniane garnki i misy, to szklane naczynia stały mu przed oczyma jak żywe. Zaczęło go w świat ciągnąć, by dojść na ową wyspę Murano w dalekim, italskim kraju. Pożegnał więc kogoś dnia matkę, brata, sąsiadów i kurną ojcowską chatę i wyruszył obiecując przyprowadzić do sióła Szklaną Panią, by spokojny i dostatni żywot wszystkim zabezpieczyła.

Dotrzymał Wawrzusć słowa. Powrócił po dziesięciu latach nad rzekę Kamienną jako dorodny i dostatnio odziany młodzieniec, matce do nóg się skłonił i pokazał jej naczynie szklane oraz gomółkę okrągłą i przezroczystą. Wy tłumaczył jej też, że bogacze używają takich naczyń do picia, a gomółki w ołów oprawione do okien wstawiają w zamkach i kościołach, by światło przez nie wpuścić. Potem zebrał wszystkich ludzi i oświadczył, że przyprowadzi Szklaną Panią, jeśli dopomogą mu odpowiednią chatę dla niej zbudować i wyposażyć. Mieszkańcy sióła przystąpili do roboty.

Chata stanęła na środku polany, nad małym potokiem wpływającym do Kamiennej. Wewnątrz niej był ogromny, kamienny piec, w którym długie na chłopa polana spalać można było. Po pewnym czasie zamieszkała tu Szklana Pani, a aby ciepło miała ludzie wycinali dla niej drzewa i ogień wielki w piecu podtrzymywali. Inni kopali dla niej piasek, przesiewali jak mąkę, płukali w wodzie, suszyli i do pieca wsypywali, a Pani płaciła im za to srebrnymi i złotymi groszami. Wawrzek tylko dłonie zacierał i pokazywał coraz to nowe naczynia tworzone w ogniu z piasku, a które nazywał "vitrium montani" (szkło górskie). Ludzie z sióła zaczęli żyć dostatnio, w barwne stroje, czarno-zielono-czerwone się ubierali i nieraz z dumą spoglądali, jak pod dom Szklanej Pani zajeżdżały kute wozy kupieckie z dalekich stron i jak owo "vitrium" zabierali. Już nie chude kozy, lecz stada krów i wołów na porębie po wyciętym lesie wypasali i pieśni ku czci Szklanej Pani składali i śpiewali. Jedli tłusto i obficie, pili miody i wino, nie z cynowych, czy też glinianych kubków, lecz ze szklanic, jak ludzie szlachetnie urodzeni i nawet latem chodzili za krowami w skórzniach, czego im bardzo zazdrościli mieszkańcy okolicznych siół.

Któregoś dnia nie zastali jednak Szklanej Pani w jej chacie. Wawrzek odnalazł ją dopiero po kilku dniach, na małej leśnej polanie, wysrebrzonej słońcem, gdzie zbierała kwiaty. Kazała sobie zbudować nową chatę, pośród zielonego, pachnącego żywicą lasu, gdzie było pod dostatkiem drzew na opalenie jej pieca. Powstał dom piękniejszy i obszerniejszy niż poprzednio. Ludzie po pewnym czasie opuścili stare domy i wybudowali nowe chaty obok Szklanej Pani, by do pracy mieć blisko.

Legenda pochodzi z książki Urszuli i Aleksandra Wiącków "Legenda Karkonoszy i Okolic", wydanej w roku 1984 przez Wojewódzki Dom Kultury w Jeleniej Górze.

O Trzech Schaffgotschach i Kruczych Skalach

Któregoś dnia brodaty rycerz Schaffgotsch ze Starej Kamienicy koło Jeleniej Góry długo się zastanawiał jak zdobyć pieniądze na remont rodowego zamku. Chyliła się, bowiem już ku upadkowi ta stara budowla obronna pamiętająca czasy Bolesława Chrobrego, a nadana jeszcze w ubiegłym stuleciu protoplaście rodu Schaffgotschów przez księcia Bolka I, pana na Świdnicy i Książu. Rycerz wiedział, że jeśli nie ściągnie do swej siedziby kamieniarzy i murarzy, zamek przemieni się w ruinę, a on sam z małżonką i synami będzie musiał zamieszkać w jednej z kurnych chat na podzamczu.

Medytował w swej komnacie całe popołudnie. Nikogo do siebie nie dopuszczał i tylko służba słyszała jak stękał, sapał ze złości i co chwila walił kułakami w stół. Dopiero późnym wieczorem nakazał pachołkowi zawołać swych najstarszych synów.

Gdy przybyli pokornie ucałowali go w dłoń, Hans Ulrich Schaffgotsch milczał przez chwilę, potem splunął na kamienną podłogę i zaczął mówić. - Źle jest z naszym rodowym zamkiem. By wydać za mąż waszą siostrę musiałem wiele złota dać jej w posagu i wesele wyprawić. Na was też wiele brzęczących monet wydałem i dlatego skarbiec nasz jest pusty. A złoto leży na drodze i tylko podnieść je trzeba!

Bąknął w odpowiedzi najstarszy syn, że nigdy leżącego na ziemi złota nie widział i że gdyby takowe zobaczył, to natychmiast kazałby swemu pachołkowi je podnieść i sobie wręczyć. Ojciec przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki i palcem wskazał na okno.

- Tam jest złoto! Kupcy jeżdżący po drogach mają złoto! Musimy je zdobyć i naszą szkatułę nim wypełnić!

Młodzi Schaffgotschowie pojęli, o co ojcu się rozchodzi i pobledli.

- To... nie po... rycersku – wyjąkał Hans Krzysztof.

-Mostowe i drogowe pobieramy od kupców by chronić ich... dodał młodszy Hans Wolfshelm.

- Durnie jesteście! Durnie! – krzyknął senior rodu. – Nic nie pojmujecie!

Jak dawniej będziemy pobierać opłaty od kupców, a swoje zarobimy!

Będziemy strzec szlaków przed zbójami tylko od porannego do wieczornego dzwonienia na Anioł Pański. Jeżeli ktoś napadnie na wozy w nocy, nie jest to naszą winą! Pojęliście?

Zrozumieli i od następnego dnia jeździli w trójkę p drodze wiodącej z Jeleniej Góry do Pragi, przez Góry Izerskie i czeską Jelemnicę. W dzień byli strażnikami, a wieczorem w krzakach się kryli i jak zbóje napadali na kupców. Napadnięci przychodzili często do kasztelana jeleniogórskiego ze skargami, lecz wzywany w celu złożenia wyjaśnień rycerz Schaffgotsch krótko z nimi rozmawiał.

- Kiedy napadli was zbóje? – pytał?

-Wczoraj wieczorem, wasza miłość.

- Po wieczornym dzwonie?

- Tak.

- Ja strzegę szlaku tylko do wieczornego dzwonu, potem porządny kupiec po drogach się nie włóczy!

W kilka niedziel później trójka rycerzy ze Starej Kamienicy odkryła za Szklarską Porębą, nad rzeką Kamienną, grupę skał nazywanych przez miejscową ludność Krzywymi Basztami. Pod nimi, ukryta wśród krzaków, znajdowała się mała granitowa grota, doskonale nadająca się na kryjówkę dla ludzi w razie złej pogody. Tutaj Schaffgotschowie postanowili oczekiwać na przejeżdżające w pobliżu kupieckie wozy. Gdy nadjechały, dla niepoznaki opuszczając przyłbice, wypadali na drogę i swój zbójcki proceder uprawiali.

Wkrótce nie tylko zamek w Starej Kamienicy wyremontowali i rozbudowali, ale jeszcze stary Schaffgotsch dla syna zamek Gryf nad Kwisą kupił. Gości też licznych zapraszał i uczyty dla nich wyprawiał, a nawet kościół wznosić zaczął.

Gdy już zbyt dużo skarg kupieckich wpłynęło do kasztelana jeleniogórskiego i gdy o rozbojach już zbyt wiele ludzie zaczęli mówić, Hans Krzysztof zorganizował „obławę” na zbójów. Przyłapał jakiegoś chudopachołka w lesie nad Kamienną, trochę na umyśle upośledzonego i powiesił go przed bramą wjazdową do zamku. Rozgłosił, że był to herszt bandy i zakazał zwłoki biedaka ze sznura zdejmować, aż do czasu, gdy same od niego odpadną, by wszyscy mogli naocznie stwierdzić, że na ziemiach Schaffgotschów panuje ład i sprawiedliwość.

O wydarzeniu tym dowiedział się Duch Gór Sudeckich, gdy któregoś dnia przybył do Jeleniej Góry w przebraniu wiejskiego kamieniarza. Kilka dni przebywał w grodzie po zajazdach i gospodach przesiadując, a potem przyłączył się do krakowskich kupców, którzy do Norymbergii mieli zamiar jechać.

Początkowo podróż przebiegała spokojnie. Dopiero w wąwozie rzeki Kamiennej, gdzie bór gęsty pokrywał oba jej brzegi, pomyśleli o zbójach i broń z łubów wyjęli – trzy łuki i jedną nieco pordzewiałą kuszę. W pobliżu Krzywych Baszt usłyszeli nagle szelest liści, trzask łamanych gałęzi i tętent końskich kopyt. Nieco później dostrzegli trzech rycerzy z twarzami przysłoniętymi przyłbicami i z uniesionymi ku górze mieczami w dłoniach.

- Stać! – rozkazał kupcom pierwszy z rycerzy. – Stójcie, jeżeli wam życie miłe! Złoto i srebro dawajcie!

Nie chwycił za broń żaden z kupców krakowskich, wiedząc, że ani pancerza, ani hełmu nie uda im się przebić strzałą z łuku. Szybko zaczęli wyjmować kute skrzynie wypełnione złotymi i srebrnymi monetami. Lamentowali przy tym głośno, że żebrakami do końca życia zostaną, jeżeli wszystkie pieniądze stracą. Odpowiedziały im głośne śmiechy napastników. Wtedy to Duch Gór wyłonił się zza wozu.

- Ejże! Mości rycerze! – zawołał. – Widzę, że się w rozbójników zabawiacie, miast porządek utrzymywać na kupieckich szlakach.

Odpowiedział mu ponownie gromki śmiech, a stary Schaffgotsch skierował swego konia w stronę pytającego człowieka.

- Ktoś ty?
- Powiem ci, kim jestem, gdy sam załadujesz na wozy te oto skrzynie ze złotem i gdy wolno puścisz tych ludzi.

- Pytam, ktoś ty? Chcę byś mi się sprawił przed śmiercią!

- Spróbuj – usłyszał w odpowiedzi spokojne słowa człowieka w odzieży wiejskiego kamieniarza.

- Na niego! Dalejże synowie! – krzyknął Hans Ulrich.

Ci spięli swe rumaki i skierowali je na Ducha Gór, chcąc go stratować.

Równocześnie unieśli ku górze swe miecze, ale Liczyrzepa machną tylko w ich stronę ręką, wypowiedział cicho jakieś słowa i obaj równocześnie spadli martwi z siodeł na ziemię, jakby rażeni piorunem.

- Mój Boże! – krzyknął ze zdumieniem i złością ich ojciec. – Klnę się na świętą Willigardę, patronkę rodu, że zginiesz od tego miecza.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, pękł mu on nagle przy rękojeści, a błyszczące ostrze upadło z metalicznym dźwiękiem na kamienie. Wypuścił nieużyteczne szczątki z dłoni, pale obu rąk zacisną na wodzach konia, by zawrócić go i ratować się ucieczką. Duch Gór uniósł rękę i koń nawet nie drgnął pod rycerzem.

Upadli na kolana przed Liczyrzepą kupcy krakowscy i dłonie złożyli jak do modlitwy.

- Zbawicielu nasz! – wołali jeden przez drugiego, całując go po rękach, lecz on nakazał im milczenie, popatrzył na martwe ciała Schaffgotschów, na ich przestraszonego ojca i powiedział:

- Za to, że spokojnych ludzi napadaliście na drogach, w postaci czarnych kruków przemienię wasze dusze. Jako trzy złowróbnne ptaki będziecie do końca świata odprawiać pokutę na skałach po przeciwnej stronie rzeki. Co noc o północy, bez względu na pogodę, w deszcz, śnieg, czy też mróz będziecie tu przylatywać i ze skał spoglądać na miejsce swych czynów. Pokutę waszą może skrócić człowiek, który gorszy od każdego z was będąc i nie wiedząc nic o waszej karze, usiądzie tu na tej skale i swych czynów żałować będzie.

W chwilę po tych słowach zdumieni kupcy ujrzeli jak z trzech pancerzy rycerskich wyfrunęły trzy czarne kruki i udały się na skały stojące za rzeką. Duch Gór Sudeckich znikną raptownie i kupcy nawet nie wiedzieli, komu zawdzięczają ratunek. Zawrócili do Jeleniej Góry i pod przysięgą zeznali sędziemu grodzkiemu przebieg wydarzeń, oraz przedłożyli na dowód trzy rycerskie zbroje Schaffgotschów. Domyślili się wszyscy, że to nikt inny jak tylko Duch Gór mógł przemienić rycerzy w kruki. Od tego dnia mieszkańcy Szklarskiej Poręby nazywali skały stojące na prawym brzegu Kamiennej Kruczymi Skałami.

KUNEGUNDA z zamku Chojnik

Żyła kiedyś w zamku na górze [Chojnik](#) śliczna księżniczka o imieniu Kunegunda. Od chwili, gdy zmarł jej ojciec, sama zamkiem i należnymi do niej włościami władała. Największą jej przyjemnością były polowania na jelenie, jazda konna i władanie bronią. Ponieważ była bogata i piękna, wielu szlachetnych rycerzy starało się o jej rękę, ale ona zarozumiale oświadczała, że wyjdzie za mąż tylko za tego rycerza, który w bojowej zbroi, w hełmie z opuszczoną przyłbicą, z mieczem, tarczą i kopią w dłoni, zamek po zewnętrznym pierścieniu murów konno wokół objedzie. Wiedziała bowiem, że od strony przepaści zamek ma bardzo cienkie mury i uznawała taki wyczyn za niemożliwy.

Wielu rycerzy próbowało tego dokonać, ale każdy z nich, w miejscu gdzie mur był najbardziej cienki, padał wraz z koniem w przepaść i na kamiennych głazach życie tracił. Powodem były zawroty głowy, które na tej wysokości odczuwali, czy też potknięcia się konia na niezbyt gładkiej powierzchni muru.

Kunegunda lubiła patrzeć ze swego okna na próby rycerzy i na ich śmierć, która na ścianie kamiennego urwiska im życie zabierała. Odczuwała dużą przyjemność z faktu, że oni wszyscy dla jej zachcianki ginęli.

Wieść daleko w kraj poszła, że dokonanie tego wyczynu jest niemożliwością i że każda następna próba jest zwykłym samobójstwem. Dlatego dalszych prób zaniechano i księżniczka Kunegunda była bardzo niezadowolona, że nikt więcej nie chciał dla niej życia swego narazić i o zdobycie jej ręki się starać.

Tak minęło kilka lat i miesięcy.

Któregoś wieczoru strażnik nad bramą stojący dostrzegł, że jakiś nieznany nikomu rycerz, z jednym tylko pachołkiem, konno w stronę bramy zamkowej drogą podążał. Gdy już przed wieżami bramnymi stanął i głosem swego rogu przybycie obwieścił, zapytał strażnik po co do zamku przybywa.

- Przybywam, by zamek ten konno po murach objechać – odkrzyknął mu nieznany rycerz i gdy brama została już otwarta, wjechał w dziedziniec stajenny. Tam pachołek odwiódł jego konia do żłobu a on, strzepnąwszy ze swej odzieży kurz, wszedł do zamkowych komnat.

Już po zapadnięciu zmroku, przy wieczerzy podanej w najobszerniejszej komnacie, oświetlonej płonącymi szczapami, wypytywany o podróż, zaczął rycerz opowiadać. Mimo zmęczenia spowodowanego przebytą drogą opowieść swą snuł tak ciekawie, że większość mieszkańców zamku zeszła się, by jego słów posłuchać. Jedna z dworek księżniczki Kunegundy pobiegła do jej komnaty i o opowiadaniu rycerza ją powiadomiła.

Zaciekawiona tą wiadomością Kunegunda też chciała opowiadania posłuchać, ale krępowała się zmęczonego podróżą rycerza wieczorną porą do swej komnaty wzywać. Duma nie pozwalała jej zejść po schodach i tam, na dole, pośród sług zamkowych usiąść. Ciekawość jednak zwyciężyła. Szybko przebrała się w strój swej służebnej i przez nikogo nie zauważona, cicho wsunęła się do wnętrza rozjaśnionej jedyną świecą i płonącymi szczapami komnaty. Tu usiadła w najciemniejszym kącie i prawie do północy słuchała opowieści snuty przez rycerza.

On, siedzący przy stole, w blasku płonącej tam w lichtarzu cynowym świecy, spodobał się Kunegundzie. Nie spuszczała oczu z jego długich, opadających na ramiona włosów, lśniących w migotliwym blasku płonących szczap, opalonego wiatrem i słońcem oblicza z lekko uchylającymi się, uśmiechniętymi ustami.

Rycerz opowiadał o swych stronach rodzinnych, o ojcu, matce, braciach i o nieznanym jej, dalekim Krakowie. Opisywał mury tego miasta, baszty, bramy, ulice, kościoły i zamek Wawel, wraz z jego mieszkańcami oraz domy krakowskie i turnieje rycerskie tam odbywające się.

Dopiero gdy przybysz udał się na spoczynek, Kunegunda powróciła do swej komnaty i padła na łożo, hamując głośnie łkanie. Pojęła, że pokochała nieznanego rycerza od pierwszego wejrzenia i że on jutro, podczas dokonywania zamierzonej próby objechania konno zamku, na pewno straci życie jak wszyscy ci, którzy tego czynu dokonać chcieli.

Nagle naszła ją pewna myśl. Wstała z łoża, obudziła jedną ze swych dworek i poleciła jej udać się zaraz do komnaty, w której śpi nieznanym rycerz, obudzić go i potem przekazać mu wiadomość, że ona, pani tego zamku, księżniczka Kunegunda, zwalnia go od obowiązku objechania murów, a także skłonna jest oddać mu swą rękę i stać się jego żoną, o ile on o to ją poprosi.

Dworka wykonała polecenie, na co rycerz odpowiedział:

- Idź i powiedz swojej pani, że jestem prawym, szlachetnym rycerzem, a prawy rycerz dotrzymuje danego przez siebie rycerskiego słowa. Nie rzuca go na wiatr. Ja, wyjeżdżając ze swego rodzinnego zamku, powiedziałem iż jadę na [Chojnik](#), by zamek tam stojący objechać konno po zewnętrznych murach dookoła. To samo mówiłem, gdy pielgrzymi, wędrowcy i kupcy pytali mnie o cel mojej podróży. Te same słowa powtórzyłem i tu, przed bramą i nie mogę nie dotrzymać wypowiedzianych przez siebie słów. Nie mogę powrócić w rodzinne strony bez dokonania tego czynu. Utraciłbym swą rycerską cześć i tytuł dobrego, szlachetnego rycerza. Dlatego jutro o świcie będę próbować swoich sił i sił mego konia na murach tego zamku. Wolę śmierć znaleźć na dnie przepaści, niż znieśławionym stąd wyjechać.

Gdy dworka powtórzyła słowa rycerza księżniczce Kunegundzie, ta znów wybuchnęła głośnym płaczem. Potem bardzo długo nie mogła pohamować swego łkania i jeszcze długo w noc z tego powodu nie spała. Dopiero gdy zmęczenie płaczem wzięło górę nad jej rozpaczą, usnęła na łóżku wilgotnym od wylanych przez siebie łez.

O świcie, gdy pierwsze promienie słońca ozłociły mur wysokiej baszty zamkowej, obudził ją dźwięk trąb, które dały znać, że rycerz wjeżdża na mury.

Księżniczka szybko wstała, podbiegła do okna przecierając zaspane oczy i ujrzała, że on, w pełnej zbroi, z mieczem przy pasie, z kopiań w dłoni i tarczą na ramieniu, z opuszczoną przyłbicą hełmu, spoglądając przez jej szczelinowe wzierniki, jechał wolno, dostojnie po murze, zbliżając się coraz bardziej do groźnego miejsca, pod którym widniała chłodna, kamienna, pokryta rzadkimi krzakami przepaść.

Początkowo jechał bezpiecznie, bo i mur był szeroki, i nie było pod nim przepaści, ale gdy zaczął się zbliżać do najbardziej groźnego miejsca, gdzie mur był cienki, a powierzchnia jego uszkodzona kopytami koni poprzednio tam jeżdżących rycerzy, ona nie chciała widzieć śmierci mężczyzny, który się jej spodobał i którego już pokochała. Zastłaniając oczy dłońmi i wstrzymując oddech w piersi, zaczęła się modlić do Boga i do swej patronki św. Kunegundy – cesarzowej o pomoc dla niego i o powodzenie w tym śmiałym, groźnym przedsięwzięciu, którego stała się świadkiem. Modliła się a równocześnie nasłuchiwała i drżała z niepokoju, że za chwilę usłyszy krzyk człowieka, rżenie konia a także jak pancerz tego rycerza będzie dźwięczeć przez cały czas, gdy jego ciało po skałach osuwać się będzie na dno przepaści pod murem. Zamodlona i zasłuchana w odgłosy dobiegające przez okno, poczuła nagle osłabienie, dziwny ból pod lewą pierś i... osłabła.

Okrzyki radości i zdumienia oraz dźwięki trąb przywiodły do świadomości Kunegundę, leżącą na podłodze komnaty. Uniosła się z niemałym trudem i podeszła do okna. Rycerz ukończył już objazd po murze i skierował swego konia na dziedziniec. Sierść rumaka błyszczała od potu. Księżniczka szybko poprawiła na sobie suknię, ręką przygładziła swe włosy i zbiegła po schodach na dziedziniec. Tu skierowała się w stronę rycerza i z uśmiechem na twarzy rzekła:

- Rycerzu, szlachetny! Jestem twoja i tobie oddam swoją dłoń!

Spodziewała się Kunegunda, że on na pewno zsiądzie z konia, uklęknie przed nią i uszczęśliwiony, zgodnie z obyczajem, ucałuje jej dłoń lub kraj jej sukni.

Ale rycerz postąpił inaczej. Nie zsiadł z konia i nie pocałował jej dłoni. Siedząc w siodle, uniósł tylko przyłbicę hełmu i odparł Kunegundzie:

- Nie przybyłem tu, by zdobyć twą rękę, pani, ani też by posiąść twój majątek. Ćwiczyłem swego konia ponad dwa lata do tego wyczynu, tylko dlatego by pohamować twą karygodną swawolę i szafowanie życiem dobrych, odważnych rycerzy. – *Tu przerwał i po krótkiej chwili, patrząc w jej coraz bardziej blednącą twarz, dodał:* – Ci, którzy swą śmierć na skałach tej przepaści znaleźli, mogli żyć długo. Mogli dokonać wielu sławnych wyczynów. Mogli walczyć o wiarę, sprawiedliwość, o lepszą dolę wdów i sierot. Gdyby zginęli w walce o takie cele, lub w walce o wolność swego kraju i ludu, głęboko wryłyby się ich imiona w pamięć potomnych. Ale oni zginęli dla twojej zachcianki i dlatego twoje sumienie, pani, obciążone jest grzechem ich niepotrzebnej, bezsensownej śmierci, grzechem zabójstwa. Ich krew wala twoje dłonie, pani. Dlatego nigdy nie chciałbym mieć cię za żonę, ani też nigdy nie chciałbym dotknąć twej ręki.

Skłonił się przed drżącą Kunegundą, zawrócił swego konia w stronę bramy i w parę chwil później opuścił zamek, wraz z towarzyszącym mu pachołkiem.

Legenda o wieczornym zamku.

Kończyło się lato. Lasy porastające zbocza gór przyciągały mieszkańców Szklarskiej Poręby obfitością grzybów. Któregoś pięknego dnia na grzyby wybrała się pewna kobieta mieszkająca w Białej Dolinie. Na grzyby wybrała się kilkunastoletnią córką. Chociaż znała bardzo dobrze okoliczne lasy i wzniesienia, to jednak w pewnym momencie straciła orientację. Zgubiła się gdzieś na grzbiecie Gór Izerskich.

Zbliżała się noc. Wszystkie ścieżki były tak podobne do siebie, że nie wiedziała gdzie jest i jak dojść do domu. Koło północy dotarła do Wieczornego Zamku. Kiedyś znajdował się tu zamek Czarnego Rycerza, który zaprzedał duszę diabłu. Co się stało z zamkiem? Zamek został zamieniony w skałę.

W mroku dostrzegła blade światełko między skałami. Światełko wydostawało się za uchylonych drzwi. Bała się bardzo. Niemniej jednak ciekawość popychała ją do przodu. Uchylając drzwi zobaczyła skarby ułożone w skrzyniach i workach. Złoto, drogocenne kamienie, puchary, broń, odzież haftowana złotymi nićmi.

Strach znikł. Oczy się rozbłysły. To chyba ów Skarbczyk, o którym mawiali starsi ludzie. Posadziła dziecko między klejnotami i sama zaczęła zgarniać skarby do chusty, z której zamierzała zrobić tobolek. Czas naglił. Drzwi Skarbczyka zapiszczały ze starości. Czas uciekać. Szkoda tego wszystkiego zostawiać. Opuściła Skarbczyk w ostatniej chwili. Drzwi ciężko się zatrzasnęły.

Dopiero wówczas zauważyła brak córeczki. Płacz, rozpacz i głuche łomotanie pięści o skałę rozdzierało nocną ciszę.

Chyba straciła przytomność, bo gdy się ocknęła, to na niebie pojawiły się pierwsze oznaki budzącego się dnia.

Skarby przybladły. Największy skarb pozostał w Skarbczyku.

Postanowiła przychodzić tu każdego dnia o północy. Miała nadzieję, że któregoś dnia zostanie otwarte drzwi i odzyska córkę.

Mijały dni i noce. Traciła nadzieję na odzyskanie córki.

Deszcz, śnieg, dzikie zwierzęta nie były w stanie odstraszyć kobiety.

Straciła nadzieję, że córka żyje. Chciała już tylko ją pochować w poświęconej ziemi.

Mijały kolejne dni i noce. Zapomniała o skarbach, a przy życiu trzymała ją nadzieja, że którejś nocy zostanie otwarte drzwi Skarbczyka.

Minął rok. Noc była tak czarna, że z trudem znalazła drogę do Wieczornego Zamku. Coś błysnęło między drzewami. Jakaś zjawa? Może zmęczenie? Nie! Coś świeciło w Wieczornym Zamku. Serce zabiło jej mocno. Biegła potykając się o powalone drzewa i gałęzie. Dopadła drzwi Skarbczyka i ...

- Jest mój skarb – krzyknęła widząc córeczkę, która siedziała tam, gdzie ją zostawiła rok temu. Nadal bawiła się sznurem pereł.

Zostawiła zebrane rok temu drogocенności i wyszła z córką, którą przytulała do siebie.

Legenda o czerwonej jamie.

Dawno, dawno temu, grasował tutaj smok Krak. Mieszkał on w dolinie rzeki Kamiennej, gdzie obecnie znajduje się Czerwona Jama. Jama ta natomiast połączona była podziemnym korytarzem z miejscem, gdzie dziś Łaba opada kaskadami, tworząc malowniczy wodospad.

Smok, jak to smok, pustoszył okolicę, czym nagrabił sobie u Karkonosza. Brojenie pod nosem Ducha Gór nie należało do najmądrzejszych wyczynów i jak się domyślacie bestia poniosła wysoką karę.

W czasie gdy smok wygrzewał swoje cielsko na słoneczku u źródeł Łaby, Karkonosz zatkał wylot w Czerwonej Jamie, a gdy Krak w końcu wlaź do tunelu, by jak zwykle przedostać się do swojej pieczary, zablokował również wylot podziemnego korytarza skałą z Łabskiego Szczytu. Zamachnął się skałą tak potężnie, że od uderzenia powstało spore zagłębienie, które dziś zwiemy Łabskim Dołem.

Duch Gór popędził z powrotem pod Czerwoną Jamę i dopadł smoka, który próbował sforsować głąz. Skrócił Kraka o głowę, gdy ten wyściubił łeb na zewnątrz. Do dziś pozostał czerwony głąz, będący skamieniałym cielskiem potwora.